Mały przegląd

pismo dzieci i młodzieży

wychodzi co piątek rano — korespondencje i materiał kierować należy do redakcji „małego przeglądu" nowolipki 7

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 127 (8457) „NASZEGO PRZEGLĄDU"

Koledzy — koleżanki

SKĄD PRZYSZŁA DO NAS BRONIA.

Kilka lat temu Bronia była jeszcze popychadłem na podwórku. Dzień jej mniej więcej tak wtedy wyglądał:

— Wstawała o siódmej rano, sprzątała pokój i posypywała podłogę trocinami. O godz. 8-ej budziła rodzeństwo i ubierała je. Potem wychodziła z nimi na podwórze. Nie zdążyła się pobawić 5 minut, gdy na pierwszym piętrze otwierało się okno i wychylona głowa wołała:

— Bronia, przynieś mi pół kilo mąki.

Bez słowa sprzeciwu Bronia biegła. Gdy wracała, na podwórzu stała już pewna pani, która mówiła:

— Bronia, jak wyrzucisz mi śmiecie, dostaniesz dwa grosze.

Bronia biegła. O, za dwa grosze onaby na koniec świata pobiegła. Wchodząc na schody, czuła już w myśli smak farbowanego cukierka, potem widziała siebie oblizującą brudne palce, na których była jeszcze farba. Wyrzuciwszy śmiecie, pobiegła po cukierek i po kolei dawała wszystkim dzieciom do lizania, w końcu sama brała go do ust.

Ale Bronia nie zawsze miała do lizania cukierki. Czasem przez cały dzień nic nie jadła, aż jakaś dobra sąsiadka brała ją do siebie i karmiła. Bronia pamiętała jednak o głodnym rodzeństwie, zostawiała dla nich trochę.

Najprzyjemniej było po południu. Wkładała wtedy stare palto i szła do ciotki na ulicę Pawią. Tam robiła co chciała, przewracała wszystko do góry nogami. O godz. 10-ej wracała do domu i kładła się spać.

Dziś jest już Bronia w czwartym oddziele, uczy się świetnie. Bardzo ją lubię.

RACHELA z Dzielnej.

*

PO ŚMIERCI PRZYJACIELA.

Mieszkam na przedmieściu, wśród samych łobuzów. Blisko naszego domu jest wysoki nasyp kolejowy, który został usypany jeszcze za czasów rosyjskich. Zimą nasyp ten służy nam do zjazdów nartami, saneczkami i nawet łyżwami.

Mieszkam tu już parę lat i biorę udział w zabawach, urządzanych przez chłopców naszej ulicy. Zeszłej zimy jednak chłopcy zaczęli mnie szturchać i przezywać. Znosiłem to w milczeniu, ale najsilniejszy z chłopców, mój przyjaciel Stasiek, zauważył to i mnie obronił. Już nikt nie śmiał mnie tknąć.

Pewnego dnia, kiedy jeździliśmy na łyżwach na pobliskim jeziorze, lód się załamał pod Staśkiem i on wpadł do zimnej wody. Starsi, którzy przyglądali się naszym popisom na lodzie, uratowali go i zawieźli do domu. Stasiek bardzo długo chorował i umarł. Bardzo płakałem po śmierci Staśka. Straciłem w nim jedynego przyjaciela.

Kiedy wyszedłem na dwór, żeby się przejechać na łyżwach, chłopcy capnęli mnie, uwalali w śniegu i wrzucili kawałki lodu za kołnierz. Na razie zadowolili się tym jednym napadem, bo byłem najlepszym łyżwiarzem, uczyłem ich różnych sztuk. Widząc, że ja wszystko lepiej od nich wykonuję, zgrzytali tylko zebami i wygrażali pięściami, ale mnie nie bili. Chcieli wpierw ode mnie wszystkiego się nauczyć.

Przed czterema miesiącami znów na mnie napadli. Wtedy poprosiłem ojca (ojciec jest właścicielem tartaku), żeby dawał im drzewa bezpłatnie (zimą wydajemy bezpłatnie drzewo biednym). Ojciec zgodził się, ale zastrzegł, że nie da chłopcom drzewa tylko przez dwa dni. Nie chciał, żeby długo cierpieli, zresztą ja sam tego nie chciałem.

Gdy chłopcy przyszli do tartaku po drzewo, stróż ich nie wpuścił. Padł na nich popłoch. Zaczęli się oskarżać wzajemnie, że ten czy tamten zawinił, a wszyscy cierpią, że teraz przepadło, bo już pewnie nie przebaczę.

Ale ja przyszedłem do stróża i poprosiłem go, aby ich wpuścił. Wtedy oni zobaczyli, że nie jestem mściwy i przeprosili mnie. Odtąd żyjemy w zgodzie, jak przed paru laty.

DAWID z Baranowicz.

*

NIE MOŻNA PRZEWIDZIEĆ.

Nosił wtedy krótkie spodenki mocno z tyłu wytarte i czapkę z długim daszkiem. Nos miał wydłużony, wargi gube, włosy ostrzyżone na jeża. Chodził pogwizdując, zawsze uśmiechnięty z rękami w kieszeniach. Drwił ze wszystkic, nie szczędząc koleżanek. Im właśnie najwięcej dokuczał. Drażnił się z nimi, zabierał śniadania lub książki, musiały gonić go i błagać, żeby oddał.

Był on „prowokatorem". Wiele razy namawiał biegów, aby strajkowali na klasówce. Gdy wszyscy strajkowali, on pisał. W ten sposób zyskał sobie opinię spokojnego chłopca, który nikomu nic złego nie robi, przeciwnie — cierpi przez łobuzów.

Nikt go nie lubił, unikali go wszyscy prócz mnie.

Rozstaliśmy się w piątym oddziale.

I oto w tym tygodniu, po trzech latach spotkałem go na ulicy.

Spojrzałem na niego i aż oczy przetarłem. Czy to ten sam Izrael?

Stał przede mną uczeń jeszybotu w długiej kapocie. Twarz miał bladą, skupioną i bardzo smutną.

— Co się stało?

A no, trafił na jakiegoś rabina — podobno prorok i mędrzec. Tak się przejął jego słowami, że rzucił szkołę i poszedł do niego.

— Jestem teraz zupełnie innym człowiekiem — mówi Izrael. Wyrzekłem się życia i jestem szczęśliwy.

Mimo woli przypomniałem sobie słowa naszego nauczyciela:

— Życie jest bardzo skomplikowane. Nie można przewidzieć, co jutro przyniesie, ani tego, co z was wyrośnie...

J O T.

Dzień rozpaczy i zamętu

Wyobraźcie sobie, że stało się wielkie nieszczęście — tak wielkie, że rozpacz ogarnęła uczenice, nauczycieli i p. Stanisława i o żadnej nauce nie mogło być mowy.

Bum się popsuł?

E, gimnastyczka pogniewałaby się tylko, ale ostatecznie można ćwiczyć bez przyrządów.

Więc może przyrodniczka nie przyniosła potrzebnych okazów i modeli?

Także nie. Można się obejść bez nich.

W takim razie pewnie matematyk zachorował?

I to nie. Zawsze ktoś zastąpi.

Ponieważ nigdy nie zgadniecie, powiem od razu: zginęły klucze od kooperatywy. Tak, zwyczajnie klucz od sklepiku szkolnego. Niby nic strasznego, a jednak...

Wyobraźcie sobie: duża pauza — przed szafką ogonek.

— Sklepik! Sklepiczarka! Co się stało?

— My tu z głodu umieramy, a ta się nie spieszy!

Wtem ukazują się dyżurne sklepiczarki. Na ich widok tłum rozstępuje się, przepuszcza. Rozlegają się wołania:

— Dla mnie coś dobrego za 5 groszy!

— Lizaka!

— Niech będzie wafelek!

— Zeszyt pojedyńczy w kratkę!

— Wieczne pióro!

— Te, nie pchaj się! Ja chcę stalówki!

Zdenerwowane sklepiczarki szukają kluczy. Zrewidowały wszystkie kieszenie, zakamarki, teczki, nie wyłączając niebieskiej torebki polonistki. Nie ma. A tłum rośnie, naciera, huczy, jak wezbrana rzeka.

Zrozpaczone, bliskie płaczu sklepiczarki kłócą się w obliczu całego tłumu:

— Tyś miała ostatnia klucze. Powiedziałaś, że odniesiesz!

— Jakto ja? Jak możesz tak bezczelnie kłamać?! Właśnie, że ty zamykałaś szafkę!

Przybiega zdyszana polonistka i dolewa oliwy do ognia:

— Jesteście niesumienne, nieobowiązkowe. Strasznie się na was zawiodłam!

— Tak, tak, — zawtórowała dyrektorka. — Takie duże dziewczynki i takie niedbalstwo — niesłychane!

— Co niesłychane? — zapytała zbliżając się przyrodniczka.

— Klucze od szafki zginęły!

— Mój Boże, za naszą pracę, za naszą mękę — takie szopki...

— Na co my właściwie czekamy, jeśli nie ma kluczy? — odezwała się z tłumu jakaś dziewczynka.

Głos ten wyrwał z zadumy dyrektorkę. Spojrzała ostro na polonistkę.

— Tym razem pani niedobrze wywiązała się ze swoich obowiązków. Powinna była pani uważać na sklepiczarki. Stanisławie! Proszę dzwonić!

— Dzwonek... — zaszeptały przerażone uczenice.

— Ojej, nie mam zeszytu! — woła jedna z płaczem.

— U nas klasówka!

— Hurra, nie będzie klasówki!

Mała aż się zanosi od płaczu: taka strata, nie mają kolorowego papieru, a tu rysunki, napewno dostaną dwójki.

Wtem wpada p. Andzia:

— Wizytator!

Uczenice pierzchły, polonistka poszła do kancelarii w towarzystwie pocieszających ją nauczycielek.

Po chwili opanowana na pozór dyrektorka wita dostojnego gościa. Sekretarka machinalnie wyjmuje kwitariusz, myśląc z rozpaczą: a nuż zechce on obejrzeć kooperatywę? Wtem... zabrzęczały klucze. Leżały pod kwitariuszem!

— Dzięki Najwyższemu! — zawołali wszyscy.

Do smutnej klasy wpadł p. Stanisław:

— Klucze są!

W klasie zawrzało jak w ulu. Dziewczęta wydawały zwycięskie okrzyki i sklepiczarki na życzenie p. wizytatora z triumfem otwierały sklepik.

B. M.

Nasz warsztat introligatorski

Zaczęło się od tego, że... nie ma pieniędzy. Co robić? Wielu z nas, mimo usilnych starań, nie może znaleźć lekcji.

Głowimy się, zastanawiamy i bez przerwy martwimy się — nic nie wychodzi.

Ale któregoś dnia p. Felicja powiada: ‚Mam projekt. Załóżmy warsztat introligatorski. Oczywiście, że przedtem musicie się tej roboty nauczyć i to gruntownie, a potem będzie można pomyśleć o zarobku."

Uradowane przyklasnęłyśmy. Ale skąd wziąć pieniądze na naukę, narzędzia i t. d. Wszystko jednak przy dobrej woli i staraniach udało się załatwić.

Wybrałyśmy dziesiątkę wyjątkowo zdolnych i chętnych do zajęć praktycznych, opodatkowałyśmy się wszystkie na ten cel (to był ogromny wysiłek)— po 1 zł. i postanowiłyśmy regularnie wpłacać od 5 do 10 gr. tygodniowo. Narzędzia prymitywnie, własnoręcznie i tanim kosztem zrobimy na lekcjach zajęć praktycznych. Więc już wszystko.

Największy jednak kłopot miałyśmy ze znalezieniem osoby, któraby nas porządnie tego fachu nauczyła. Przecież w tym wypadku szło nie tylko o samą naukę, lecz również o praktykę i to przy solidnym warsztacie.

Wiele tygodni zeszło nam na poszukiwaniach i naradach, ostatecznie załatwiłyśmy wszystko pomyślnie i jesteśmy bardzo zadowolone z wyniku nauki , jak i z osoby naszego nauczyciela.

Chyba już niezadługo zaczniemy zarabiać. Biblioteka szkolna daje nam książki do oprawy, panie nauczycielki i koleżanki z niższych klas też dla nas pracę przygotowują. Więc już niezadługo!

Oczywiście, warsztat będzie istniał na zasadach spółdzielczych, bo na powstanie jego złożył się zbiorowy wysiłek.

Chociaż wielu ludzi pesymistycznie zapatruje się na nasze zamiary, twierdząc, że praca jest żmudna, ciężka i mało opłacalna, my się nie zrażamy, bo przecież zarobkowanie lekcjami jest równie ciężkie i niewiele daje. W zakres introligatorstwa wchodzi nie tylko oprawa książek, ale także wykonanie wielu ładnych rzeczy. Mamy dobre nadzieje i wierzymy, że z czasem zdołamy tą drogą zasilić nasze fundusze i podziękować tym wszystkim, którzy się nam w osiągnięciu zamierzonego celu przysłużyli.

„TRZYDZIESTKA".

WIOSENNA NARADA BAITERII

Pochylamy się nad wielkim mikroskopem. Co za czary! Zamiast kropli na szklanej płycie, widzimy ogromne koło, a w nim tłum dziwnych istot. Tyle ich się zebrało i są one tak różne, że ma się wrażenie, jakoby to był jakiś zlot.

Jedne z tych istot są jak ziarenka, drugie — jak laseczki, inne znów — jak przecinki. Niektóre nie mogą ustać w miejscu, kręcą się tu i tam, poruszając drobniutkimi rzęskami. Ale nie wszystkie mają rzęski, są i takie, które same przenosić się nie mogą.

Domyślamy się, że w tej kropli mętnego płynu odbywa się wiosenna narada bakteryj.

Istotnie na środek koła wychodzi Lasecznik. Patrzymy przez mikroskop i słyszymy:

— Oto zebraliśmy się, przedstawiciele dwóch sprzymierzonych państw — państwa Roztoczowego i Pasorzytniczego — na wspólne obrady nad wielkim nieszczęściem. Niech żyje zgoda!

— Jaka zgoda? Poco zgoda? — zaniepokoiły się Pasorzyty. — Jesteśmy stworzeni do walki, żyjemy w gorącej krwi ludzi i zwierząt, w tkankach ich ciała, a Roztocze żyją w wodzie i ziemi, w trupach ludzi, zwierząt i roślin, we wszystkim, co martwe. To tchórze i zgniłki!

— He-he, — zarechotały złośliwie urażone Roztocze. — Patrzcie, jacy oni zrobili się honorowi. Niktby nie przypuszczał, że właściwie pracują tylko dla nas — żebyśmy mieli dobrą strawę.

— A wy tylko czekacie na padlinę, — krzyknęły Pasorzyty, — na ciała tych, których my w śmiertelnym boju zabijamy! Nie potrzebujemy takich sprzymierzeńców!

— Cicho!! — wrzasnął Lasecznik. — Wszyscy jesteśmy potrzebni: Pasorzyty zabijają, a Roztocze sprzątają ciała zabitych. Bez Pasorzytów mniej byłoby śmierci, ale bez Roztoczy wcale nie byłoby życia!

— Cooo?!

— To, co słyszycie: nie byłoby życia. Czy możecie sobie wyobrazić świat, w którym wszystko, co umiera, — a więc rośliny, zwierzęta, ludzie, — nie znikałoby, nie rozkładałoby się, nie obracało w proch? Świat wyglądałby wtedy jak jedno wielkie pobojowisko! Ale Roztocze — te zgniłki, jak krzyknęliście — nie tylko są grabarzami, ale także budują, tworzą nowe procesy, przygotowują grunt dla nowego życia. Powtarzam: niech żyje zgoda!

Tym razem wszyscy ten okrzyk podchwycili.

— Pasorzyty i Roztocze! — zawołał Lasecznik. — Nie czas na kłótnie. Cały świat bakteryj jest teraz zwalczany i szpiegowany. Nawet w tej chwili nie mamy pewności, czy nie obserwuje nas oko ludzkie.

— Ale jak? Przecież nas gołym okiem nie widać. Kto mógł nas zdradzić?

— Woźny!

— Jakto?

— Zwyczajnie: pewien woźny w Holandii, Antoni Leewenhoek wyszlifował powiększające szkiełka, zobaczył nas przez nie i o tym napisał.

— Śmierć woźnym! Cholerę im zrobimy!

— Uspokójcie się, proszę was. Krzyk tu nie pomoże. Przepadło — pan Antoni odkrył nas bez mała 300 lat temu. Od tego czasu ludzie tak udoskonalili jego szkiełka, że mogą zobaczyć to, co jest 4000 razy mniejsze od milimetra! I teraz na nas patrzy już nie jeden woźny, ale tysiące uczonych.

— Niech zginą!

— Owszem, giną przy tym podglądaniu, ale przychodzą inni uczeni i wymyślają coraz to lepsze na nas sposoby. Czy wiecie, że oni znaleźli już wśród Pasorzytów zdrajców?

— Nie może być!

— Niestety, tak jest. Pewien chemik, Ludwik Pasteur, nauczył ich tej sztuki. Łapią, uważacie, bakterie jak za pozwoleniem dzikie świnie, osłabiają je, oswajają, a potem wypuszczają do żył krwionośnych niby na swobodę. Ale marna to swoboda! Mieszkańcy tych żył — tragarze, rycerze i muraze — przyzwyczajają się do oswojonych bakteryj i już dają sobie radę, kiedy my przychodzimy.

— Okropne!!

— Więcej wam powiem: uczeni znajdują wśród nas nie tylko zdrajców, ale i buntowników. Każą, aby jedne bakterie zwalczały drugie!

— Co za podłość!

— Na dobitkę zabrali się do badania swojej krwi! Dotychczas myśmy lepiej od nich orientowali się w zawiłym labiryncie ich żył i arterii — a teraz oni. Odkryli wreszcie to, co myśmy od dawna wiedzieli, mianowicie, że we krwi są czerwone ciałka czyli tragraze, którzy roznoszą po całym ciele potrzebny do życia tlen, poza tym białe ciałka czyli haterowie którzy z nami walczą i wreszcie płytki krwi albo — jak my je nazywamy — muraze, którzy zalepiają wszystkie dury, t. zn. rany — dzięki nim ew krzepnie, inaczej wyciekłby cała przy najlżejszym skaczeniu. Otóż do czego służą i biali rycerze we krwi i że ich można wzmocnić w walce z nimi — to im powiedział pewien Żyd, Paul Ehrlich.

— Precz Żydami!

— Ależ nie róbcie antysemickiej szopki! Tu nie uniwersytet — trochę uwagi, trochę rozumu potrzeba! Zastanówcie się: co robić? Wiosna idzie — zjawia się nowy nasz wróg: słońce!

Tu myśmy już nie wytrzymali i wprost w mikroskop:

— Słońce was wypali!

Zadrżały ziarenkowce i skręciły się wszystkie skrętki.

— Wakacje będą — kolonie — wycieczki — wieś, rozumiecie?! — krzyczymy w mikroskop. — Poczekajcie, nastaną czasy, kiedy nie będzie ludzi głodnych, ludzi bez słońca! Zwyciężymy wa — na głowę Ehrlicha — zwyciężymy! Zobaczycie, tak wa ujarzmimy, że służyć nam będziecie, pomagać i leczyć, do stu Pasteurów, draństwo takie!

Książki, które warto przeczytać

Dziwna i ciekawa jest książka Erlinga Tambsa p. t. „Teddy płynie przez dwa oceany" (wyd. Książnica - Atlas 1938). Treścią jest podróż łodzi poprzez obie półkule świata.

„Teddy", stary kuter rybacki przerobiony na żaglówkę, opuszcza w roku 1928 brzegi ojczystej Norwegii. Załogę stanowi autor Erling Tambs i jego żona Julia. Państwo Tambs wyruszają w podróż bez pieniędzy, bez przyrządów nawigacyjnych z wiarą i niezłomną wolą zwycięstwa.

„Teddy" płynie poprzez wzburzone Morze Północne, zatrzymując się w francuskim porcie le Havre. Następnie brzegami Hiszpanii na Madere, wyspy Kanaryjskie, przez Atlantyk, walcząc z żywiołem morskim. Zatrzymuje się w holenderskich Zachodnich Indiach, po czym płynie przez Kanał Panamski ku wyspie Kokosowej, wysoom Błogosławionym, a stamtąd do „utraconego raju" na Tahiti. Opuściwszy egzotyczne Tahiti, „Teddy" walczy z Pacyfikiem. Wreszcie zwycięski „Teddy" przybywa do Nowej Zelandii, skąd podczas zawodów regatowych udaje się do Australii. Po wielu przygodach i sukcesach, „Teddy" ulega w końcu oceanowi. W drodze do Nowej Zelandii „Teddy" rozbija się o skały. Płynące królestwo Erlinga Tambsa znika w odmętach oceanu.

Bohaterami książki „Teddy płynie przez dwa oceany" jest cała załoga, która powiększyła się w końcu podróży. Obok Erlinga Tambsa i Julii spotykamy już małego Tonnego, ich synka, urodzonego na wyspach Kanaryjskich. Tonny jest prawdziwym bohaterem, udowadnia, że Wschód i Zachód łatwo mogą zetknąć się nad głową małego chłopca. W chwili katastrofy potrafi on już siedzieć na skale, trzymając siostrzyczkę (która urodziła się na Nowej Zelandii) na rękach, podczas gdy matka walczy o życie, a „Teddy" rozpada się na kawałki...

Bohaterką też jest Julia Tambs żona Erlinga, kobieta odważna, pracowita, gotowa poświęcić życie dla męża i dzieci.

Erling Tambs napisał swoją książkę językiem nader prostym, oddał swoje przeżycia w sposób szczery, tak, że ludzie z żaglówki i ich przeżycia są nam, czytelnikom, bardzo bliskie. Towarzyszymy im w podróży i przejmujemy się wszystkim, co ich spotyka.

LEON RAPPEL (Lwów).

SPACER PO LUBLINIE

(REPORTAŻ Z WAGARÓW WIOSENNYCH)

Pewnego, pięknego, wiosennego poranku popełniłem przestępstwo zupełnie zrozumiałe, naturalne, bardzo częste o tej porze roku. Zwagarowałem. Gdy na dworze szaleje wiosna, gdy niebo jest tak przejrzyste, lazurowe i bezgraniczne jak w znanym tangu i kiedy niby miecz Demoklesa wisi nad tobą pała z chemii — jest to odruch zwykły i zupełnie naturalny. Z spostrzeżeń, wrażeń i nastrojów jakim na wagarach tych uległem — powstał reportaż poniższy.

*

Idę uśmiechnięty, bez żadnych wyrzutów sumienia, wpatrzony w przejrzyste niebo wiosenne, łechtany lekkim wietrzykiem. Tutaj na zabudowanej rzadko i niskimi domkami, otoczonej sadami i wogóle wieś wyglądem przypominającej „rodzinnej mojej uliczce" — szczególnie wyraźnie występują oznaki wiosny.

Po dwuch minutach miłej drogi staję na pełnym gwaru i zgiełku ulicy Lubartowskiej — głównej arterii dzielnicy żydowskiej.

Pomimo wczesnej pory panuje tu już ruch ożywiony. Mijają mnie wciąż spieszący do swych zajęć przechodnie, służące i gosposie z koszami, przejezdni chłopi oraz bardzo o tej porze liczne dzieci i młodzież niekoniecznie — podobnie jak i ja zresztą — do szkół spieszące. Raz po raz przejeżdżają po brukowanej fatalnie jezdni olbrzymie wozy ciężarowe i furmanki chłopskie. Za mostem przerzuconym nad płytką, wątpliwej przejrzystości rzeczułką — Czechówką, ciągnie się handlowa część ulicy Lubartowskiej Otwierają się tu już liczne sklepy spożywcze, sodówki, księgarnie, sklepy galanteryjne oraz poważniejsze: składy towarów bławatnych, szkła i porcelany, wyrobów żelaznych...

Na tej zamkniętej z boków starymi, dwupiętrowymi domami ulicy, pełnej już zgiełku handlowego, trudno doprawdy doszukać się piękna wiosny lub choćby jej najzwyklejszych przejawów. A jednak istnieją. Istnieją nie w naturze, nie w zieleni pól czy błękicie niebios, ale w rzeczy najbardziej — w wyrazie twarzy ludzkiej. Wystarczy spojrzeć w rozjaśnione uśmiechem twarze przechodniów, usłyszeć ich lekkie pogodne rozmówki, zauważyć pełne energii i swobody ruchy...

Nieopodal starej, zgrzybiałej sprzedawczyni gazet stoi grupa tragarzy, zaczytanych w najświeższych wiadomościach z gazet. Właściwie tylko jeden z nich donośnym głosem, powoli czyta, a reszta zapytuje:

— Czy jeszcze się rządowcy trzymają? Co z Chinami? Kogo teraz Stalin sprząta?

Po czytaniu następuje ożywiona, choć dość naiwna dyskusja.

Skręcam w ulicę Sto - Duską. Przez labirynt straganów t. zw. targu polskiego wydostaję się na główną, reprezentacyjną ulicę Lublina — Krakowskie Przedmieście.

Taką jaką jest ta ulica w obecnej chwili— oglądam po raz pierwszy. Nie dziwnego. Przywykłem widzieć ją stale po południu czy wieczorem, tętniącą życiem wielkiego miasta... W tej chwili panuje tu jeszcze cisza wczesnej pory. Wpadają w oczy spuszczone żaluzje i założone sztaby wszystkich prawie sklepów. Dziwnie blado wyglądają reklamy i szyldy sklepów, nieoświetlone światłem neonów. Zdala widnieją barwne pękate słupy ogłoszeniowe, afisze i fotosy kin. Przejeżdżają wyłącznie niemal niebieskie i czerwone, eleganckie, wypuszczone niedawno z garażu — autobusy miejskie. Jedynymi prawie przechodniami jest młodzież szkolna, gimnaziści. Wiosna wyległa na tej martwej, nieruchliwej o tej porze ulicy, zyskała na rzeźkości, lecz straciła na barwie; zbladła, zszarzała, przygasła.

Zatrzymuję się przy wysokim czarnym obelisku — pomniku Unii Lubelskiej. Wytłoczone w złotej blasze symboliczne postacie Korony i Litwy podają tu sobie dłonie w braterskim uścisku zgodnie z prawdą historyczną i kto wie, być może zgodnie z prawdą niedalekiej przyszłości. Widzę, jak uczniowie kłaniają się profesorom i przypominam sobie, że tu przecież mogę spotkać się z belfrem naszej szkoły. Uciekam w krótką boczną ulicę Kościuszki.

Przed redakcją organu tutejszych endeków — „Głosu Lubelskiego" stoi grupka przechodniów. Z zadrukowanych płacht drą się kłamliwe, obrzydliwe podżegawcze nagłówki. Pochłaniają je jacyś dwaj gimnaziści, stara kobieta, robotnik i dwaj — z teczek sądząc — urzędnicy. Czytają szybko, łapczywie, z przejęciem. Jasnym staje się, że stąd czerpią oni często swe wiadomości o Żydach, że wierzą wydrukowanym tutaj słowom, że wraz z tym siłą rzeczy budzi się w nich nienawiść do Żydów i wszystkiego co żydowskie.

Po upływie piętnastu minut wychodzę odważnie znów na Krakowskie Przedmieście. Im dalej, tym domy stają się wyższe i ładniejsze. Przy końcu ulicy dostaję się do nęcącego zielenią celu moich wagarów — Parku Saskiego. Tutaj wśród rozległych trawników i olbrzymich drzew, panuje wszechwładnie prawdziwa wiosna.

Nieopodal szemrzącej cicho fontanny, w cieniu stojącej tu od lat kawiarenki, dostrzegam nagle mego bliskiego kolegę. Następuje gorące, serdeczne przywitanie. Dwaj przestępcy, którzy, każdy z osobna sądzili że popełnili wielkie, wyjątkowe przestępstwo — spotkali się, zmniejszając równocześnie winę do połowy i postanowili razem rozkoszować się zdobytym łupem — swobodą.

Jego skłoniła do wagarowania groźna łacina, mnie jak wiadomo — chemia, a nas obu i sądzę setki, ba, tysiące innych — wiosna. Park wcale nie jest pusty. Mijamy grupki „uczącej się" młodzieży, dozorców, jakąś nianię zaczytaną w ostatnim zeszycie „Wygnanej w noc poślubną" i zasiadamy na ustronnej ławeczce.

Wartko toczy się rozmowa. Od naszych zwykłych codziennych spraw przechodzimy do tematów ogólniejszych, jak sport, film i co słychać na szerokim świecie.

Czas mija szybko. Park zapełnia się powoli. Najpierw staruszki, jakieś freblówki na wycieczce, a później zwykli, spragnieni ciszy i uroku natury przechodnie. Robi się nam gorąco. Możemy się tu spotkać ze znajomymi rodziców lub starszego rodzeństwa.

Z prawdziwym żalem przechodzimy przez bramę wyjściową parku. Przed nami rozciąga się teraz rozległa perspektywa długich, ciągnących się idealnie niemal równą linią i niknących aż przy horyzoncie — Alei Racławickich. Miła to, pełna swoistego czaru ulica jest ulubionym miejscem spacerów.

Mówimy o życiu i potrzebach Lublina, o jego rozbudowie. Temat ten nasuwa nam samo otoczenie. Ta podmiejska dzielnica — to właśnie teren przyszłych budowli, domów, ulic, mających powiększyć obszar Lublina i stanowić jego piękną, nowocześnie zabudowaną dzielnicę. Jako zaczątek realizacji tych, powiedzmy dość ambitnych i odległych planów wznoszą się tutaj gmachy Domu Żołnierza, Uniwersytetu Katolickiego, gimn. im. Staszica i Szkoły Budownictwa. W oddali widnieją liczne domki wojskowych, otoczone ogródkami.

(Dokończenie nastąpi)

MORDECHAJ HALTER

Księga pracy chalucowej

IDZIEMY W NOWE ŻYCIE

ROZDZIAŁ CZTERNASTY, CIĘŻKI JAK WORECZEK NA SZYJI „BAWAKASZY"

Kolektyw oszukał się na mieszkaniu; wszystkie iz by były wilgotne. Odczuwano to zwłaszcza nocą.

Z powodu mrozów oraz ze względu na chorych, przerwano pogadanki. Jeden zmykał zaraz po wieczerzy do łóżka, aby wypocząć, zanim jeszcze zdąży przyjść ten, z którym dzielić musi łóżko, drugi znów wychodził na krótki spacer. Gdy spacerowicze wracali, dolatywało z sypialni pochrapywanie śpiących.

Olbrzymie ciało „Bawakaszy" leżało na żelaznym łóżku. „Bawakasza" sapał jak maszyna. Miało się wrażenie, że walczy on we śnie z jakąś zmorą, że chce uwolnić z żelaznego uścisku ręce i nogi, plecy i kark.

— Ach — krzyknął jego sąsiad Cudyk i chudymi palcami wpił się kurczowo w rękę „Bawakaszy".

„Bawakasza" drgnął. Z zamkniętymi oczami wydobył z kieszeni w spodniach (spodnie leżały na łóżku) pudełko zapałek i potarł jedną. Mgła skłębiła się dokoła małego płomyka, który oświetlił połyskujące ściany. W świetle trzaskającej zapałki kapanie z sufitu do podstawionej miski wydawało się głośniejsze.

— Weź słodzoną wodę — powiedział „Bawakasza" sennym głosem w ciemność. Zamiast odpowiedzi słyszał tuż przy sobie ciążki oddech. Nie chciał przeszkadzać wspólnikowi. Niech śpi.

Należałoby mu podać szklankę do ust — rozmyślał „Bawakasza". Czuwał już, nasłuchując, kto i gdzie kaszle.

— Podejść? — medytował „Bawakasza", trzymając między wargami palec, poparzony wczoraj przy tlejącej zapałce.

Usiadł na łóżku i wytężył słuch. Paltem okrył sobie nogi (przede wszystkim powinno być ciepło nogom) i nozdrzami wciągał zapach wilgotnych ścian i pleśnią przesiąkniętych sprzętów. Denerwowała go ta wilgoć prześcieradła, to tak, jakby był chory i pocił się. Regularnie odzywało się sapanie towarzysza: Ha! ha!

— Dobre dziewczynisko z tej Menuchy — przypomniał sobie „Bawakasza" dzisiejszy spacer. Taka cichutka, drobniutka, ale kiedy zaczyna mówić, to jak by była dwa razy wyższa od niego. Taka wykształcona, a on, poganiacz u furmana...

Kche! kche! kche! — rozległ się krótki kaszel.

— A to znów kto teraz się rozkaszlał? — zainteresował się „Bawakasza".

Tak, wie już, to chyba Szyfra. Jej kaszel jest krótki i urywany. Niedokończony pochodzi z pleców, powiada i pokazuje grzbiet. Kaszel swój zwykle kończy okrzykiem: Oj, mamusiu! Zły jest na te słowa. Eliezer dowcipkuje: w kolektywie trzeba mówić: oj, towarzysze! Zły on jest z innego powodu, bo pieści się tym swoim kaszelkiem. Inni kaszlą mocniej, zrywa im ten kaszel płuca. Gdy Ruchla kaszle, nie pomaga woda cukrzona, trzeba ją nacierać i nacierać, zanim przyjdzie do siebie.

Nagle usłyszał: och, och! To Cudyk daje znać o sobie. Ach, to jego kichanie! Łóżko zatrzeszczało, kaszlący obudził się — i zaczął się prawdziwy koncert.

Pierwsza odezwała się Chajka. Zaczęła czkać: chluch! chluch! Jej najwięcej mu żal. Taka zdolna. Złote ma ręce. Kto wie, z czego to się wzięło: może z kurzu w szmaciarni? Obok niej śpi Fajgusia, ta znów pluje. Ostatnio trochę mniej. W pierwszych dniach niepodobna było wprost wytrzymać; ciągle wsadzała dwa palce do gardła, chciała wymiotować i nie mogła. Teraz słyszy „Bawakasza" tylko, jak Fajgusia sapie: he, he, jakby kogoś wołała.

Towarzysz jego wstrząsnął się i przeżuł drugi raz obiad. „Bawakasza" podał mu w ciemności szklankę wody cukrzonej do ust. Przeżuwacz uspokoił się, ale czy na długo?

— Towarzysze — mówi doktór — na nic wszystkie leki — musicie przynajmniej dla niego wyszukać inne mieszkanie.

Najbardziej boi się „Bawakasza" kaszlu swego wspólnika. Wszystkich budzi ze snu. Niech tylko Cudyk zacznie, a już cała orkiestra w mig się odzywa. Wtedy rozlega się różnego rodzaju kaszel: suchy, mokry, długi, ze świstem i złością, kaszel jak wybuch i kaszel jak skarga...

Nie mógł już zmrużyć oka. Rozejrzał się w poświacie księżyca, który zalewał całą izbę. Piętnaście łóżek, jedno obok drugiego — w nich śpi dwudziestu dwóch towarzyszy i towarzyszek.

— Gdzie jestem? — przeraził się.

Widział stajnię państwa Krajcer. Jest chłopcem stajennym, sypia razem z końmi. Nikt nie odezwie się dobrym słowem. Idź, leć, rób, przynieś. Wszyscy rozkazują. Jedyna myśl jego — to pieniądze. Skąd wziąć pieniądze? Gdy będzie miał pieniądze, to i on będzie rozkazywał, kupi sobie konia i furmankę i będzie rozkazywał swemu koniowi. Już miał prawie zebrane na konia i furmankę — właśnie wtedy wydalono go z pracy.

Teraz jest w kolektywie. Nikt mu nie rozkazuje, wszyscy pracują jednakowo: kolektyw! Wszystko jest wspólne, wszystko, oprócz jego małego zawiniątka z pieniędzmi, które trzyma w woreczku na szyji.

Czy można go i stąd wykurzyć? Nie! On sam jest panem i sługą! Jest dobrym pracownikiem — mówią wszyscy — posyłają go na najcięższe roboty — wszyscy go chętnie widzą, nawet Menucha. Tylko jej rozkazy znosiłby!

W jego miasteczku onaby nigdy do niego słowa nie przemówiła. Tu co innego i on jest tu inny. Wszystkimi siłami powstrzymuje się, aby się nie wyrwać jakimś nieprzyzwoitym słowem.

Kche, kche, kche — przerwał mu kaszel myśli.

— Dlaczego nie wynajmują innego lokalu? — gniewał się. Dlaczego nikt nie pożyczy? Przyjdzie lato — to on sam odrobi to dłuższą pracą.

— Ha, ha, ha — oddychał wspólnik jego, jakby pytał: a ty?

Nie, on nie pożyczy, wszak to jego pieniądze — to dziesięć lat ciężkiej harówki, na rodziców liczyć nie może (żyją wprawdzie, ale biedacy). Gdy przyjdzie chwila wyjazdu do Palestyny, do kogo się wtedy uda? Kasa kolektywu — to dobra rzecz, ale lepiej gdy się jej nie potrzebuje.

„Bawakasza" poczuł, że zawiniątko pali go. Leży tam 500 złotych... Pożyczy więc 200. Zwrócą mu, a jeśli nie, to jeszcze trochę będzie pracował nadprogramowo.

Nie, nie może ulegać. Teraz wie już, że to zawiniątko nie daje mu spać.

Było mu bardzo gorąco. Odkrył się, otworzył oczy i spostrzegł, że dzień zaczyna rozsuwać firanki nocy, niebieskość, nie, szarość zagląda. Która to teraz może być godzina?

Zerwał się z łóżka, podszedł do stolika i wziął zegar: szósta. Lecz jest już o tej porze widno.

Położył się znowu. Sen już nie przyjdzie — wiedział. Zaczął opracowywać plan pożyczki. Podejdzie do Mendla, zapyta go, czy mają zamiar wynająć lokal. Jeśli Mendel odpowie mu, że tak, tylko brak pieniędzy, poprosi go o weksel i przyniesie pieniądze.

Dlaczego jutro, później, gdy Mendel będzie zajęty? Lepiej teraz. Nikt nie zauważy i nie usłyszy.

Zerwał się z łóżka, włożył spodnie (podłoga zimna — włożył też i buty) i podszedł do łóżka Mendla.

Mendel leżał twarzą do okna, poruszał ustami, jakby coś mówił.

— Mendlu — zaczął go „Bawakasza" ciągnąć za rękę, leżącą na kołdrze.

Para oczu otworzyła się i znowu przymknęła. Mendel mruczał niewyraźnie: „daj mi spać, później". Przewrócił się na drugi bok.

Jak oblany zimną wodą stał teraz „Bawakasza" i nie wiedział, co ma począć. Może wrócić do łóżka? Przecież mógłby uratować wszystkich chorych, dlaczego więc odpychają go? Mendel nie wie, czego on od niego chce. Gdyby zobaczył te dwieście złotych — skakałby z radości.

„Bawakasza" stracił cierpliwość. Chciał już wydobyć z małego skórzanego zawiniątka dwa szeleszczące banknoty, dwieście złotych i musnąć nimi Mendla po twarzy, lecz bał się złych oczu. Podszedł do Mendla po raz drugi i szepnął mu do ucha: „mam pieniądze na mieszkanie, wstawaj prędzej".

Mendel obudził się, patrzył osłupiałym wzrokiem na „Bawakaszę" i widział, że chłop nie żartuje, kto wie, może naprawdę ma pieniądze?

— Skąd? — spytał Mendel.

„Bawakasza" przyłożył palec do ust, dając w ten sposób znak, aby nie robił hałasu, Mendel, zaintrygowany tajemnicą, wyskoczył z łóżka, szybko ubrał się i wyszedł z „Bawakaszą" na dwór.

(D. c. n.)

Gina RUNDE

Dzień Tusi

„Nie musimy się zniżać, pochylać, naginać, kurczyć do pojęć dzieci, ale musimy się wspinać do ich uczuć. Wspinać, wyciągać, na palcach, stawać, sięgać, żeby nie urazić"...

Janusz Korczak:
„Kiedy znów będę mały"

I.

— Proszę pani — kończy matka Tusi — moja córka jest trochę dziwną dziewczynką. To nie znaczy, żeby nie była zdolna. Ale jest krnąbrna, trudna do prowadzenia. Mówię to pani — ciągnie cichym głosem — ponieważ nie należę do matek, bezkrytycznie ustosunkowanych do swych dzieci, w których widzą same talenty, czy nawet przebłyski geniuszu.

— Dzień dobry — rozlega się nagle miły głosik. Tusia uchyliła drzwi.

— Dzień dobry.

Matka rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie i wyszła z pokoju.

— Panno Reniu — zaczyna Tusia z miejsca — dzisiaj pani Helena powiedziała, że już nieźle się uczę i należę do dobrych uczenic. Mama była w szkole. Powiedziała pani?

— Tak.

— Więc dzisiaj — prosi Tusia — będziemy miały naszą pierwszą wolną lekcję. Pani przecież przyrzekła mi wtedy, po mojej chorobie, kiedy zaczęłam się uczyć, że kiedy stanę się dobrą uczenicą, będziemy mówiły o wszystkim.

— O czym chcesz mówić? Zastanowiłaś się nad tym?

— Już wiele razy. Hm, hm...

— Napisz na karteczce. Dobrze? Poczekam parę minut.

Widziałam, że Tusia jeszcze sama nie wie, więc niech się zastanowi w spokoju.

Siedziałam i przeglądałam zeszyt matematyczny. Przyznam się, że nie byłam zbytnio ciekawa tego, co napisze. Ile to razy Tusia przerywała nagle lekcję:

— Chcę panią o coś zapytać.

— Słucham.

Tusia pytała zwykle o rzeczy naprawdę trudne do wytłumaczenia. Doświadczony pedagog pewnie wiedziałby, ale ja? Sama jeszcze jestem uczenicą, za rok dopiero otrzymam maturę. Objaśniałam jednak, jak mogłam, bardzo cierpliwie. Słuchała mnie z natężoną uwagą. Była przekonana, że jestem jej pytaniem głęboko zainteresowana.

Podała mi karteczkę drżącymi rękami. Tym razem Tusia pisała:

„Niech pani mówi ze mną o dorosłych i o dzieciach. Opowiem pani wiele. Pani się na mnie nie gniewa, prawda? Nie mam przecież z kim o tym mówić. Do pani mam zaufanie"

Tusia nie spuszczała ze mnie oka.

— Dobrze — kiwnęłam potakująco głową, nie pokazując po sobie zdziwienia.

Tusia zaczęła gadać. Nigdybym się po niej nie spodziewała takiej wymowy. Szkoda, że Tusia nie mogła się skupić, przeskakiwała z tematu na temat.

— Wiesz co — wpadło mi na myśl — rozpatrzymy wszystko po kolei.

— Jak?

— Napisz o pewnym dniu. Zastanów się, co przeżywasz w ciągu jednego dnia. Potem pogadamy.

— Dobry pomysł — klasnęła Tusia w ręce.

— Korzyść będzie podwójna — tłumaczyłam — nauczysz się bowiem pisać wypracowania. Chcesz, możemy to teraz omówić.

Tusia opowiedziała o pewnej swojej przygodzie.

— Dlaczego z dziećmi postępują tak niesprawiedliwie, — zapytała po skończonej opowieści, jednak zaraz dodała: ale dzieci też nie są lepsze. Przecież mnie, Bogu ducha winną, zaskarżyły przed panią.

— Tak nie można, Tusiu — zwracam jej uwagę.

— Co nie można?

— Nie można najpierw o szkole, potem o domu, a następnie o sprawiedliwości i znów o szkole. To jakiś groch z kapustą. Należy opowiedzieć po kolei jak upływa dzień, jak jest naprawdę i pomyśleć dlaczego właśnie jest tak a nie inaczej.

Nazajutrz pokazała mi Tusia swoją pracę. Pełno tam było błędów. Widocznie pisała w pośpiechu i w co drugim zdaniu zapytywała: dlaczego?

— Spieszyłam się — śmieje się Tusia — myślałam wciąż, że nie zdążę, że myśli ulecą z głowy, one strasznie prędko biegną — pióro nie może nadążyć.

Zaczęłyśmy obie poprawiać błędy i przepisywać. Nagle Tusia przypomniała sobie awanturę z psem i koniecznie chciała ją dodać.

— Słuchaj Tusiu, czy naprawdę jednego dnia miałaś tyle przygód naraz?

— Nie — przyznała się od razu — ja to pozbierałam z różnych dni.

Przypominała sobie teraz wszystko dokładnie. Tusia mówiła, ja spisywałam i uzupełniałam rękopis. Czasem Tusia dyktowała. Poprawiłam wszystko i tak powstał „Dzień Tusi".

Kiedy potem dałam jej do przeczytania, była zachwycona.

— Tak jest naprawdę — powtarzała.

— Teraz możemy wszystkie wydarzenia i przygody uporządkować.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że trzeba po kolei zastanowić się nad każdą rzeczą — jak przy porządkowaniu szuflady: skąd się to bierze, po co i czy nie można inaczej, jakoś lepiej, wygodniej?

Tu właśnie przeszłyśmy do najciekawszej części naszej rozmowy.

Ale żeby ją zrozumieć, musicie wpierw przeczytać „Dzień Tusi".

(D. c. n.)

PREZENT DLA TATUSIA.

Chciałam już oddawna zrobić tatusiowi niespodziankę i kupić mu jakiś prezent, ale nie wiedziałam co. Aż wpadłam na dobry pomysł. Ponieważ nauczyłam się szydełkować, więc postanowiłam zrobić tatusiowi szalik.

Cały tydzień trwała ta robota bo nie umiem jeszcze dobrze, a bardzo się starałam.

Kiedy tatuś otrzymał ten prezent, bardzo był zadowolony i kupił mi różne rzeczy, potrzebne do nauki.

HANUSIA z NALEWEK
NIEPORZĄDNA AZA.

Na moje urodziny dostałam psa, suczkę. Ona była jeszcze bardzo mała, ale ja się jej bałam. Nazwałam ją Azą.

Aza jest teraz większa, ja się do niej przyzwyczaiłam i chętnie się z nią bawię.

Aza nas lubi. Na wszystkich szczeka lub macha ogonem. Jest naszym wiernym przyjacielem.

Ale Aza jest nieporządna, brudzi pokoje i mamy ją oddać, ale nie wiemy komu, bo chcemy, żeby się dostała w dobre ręce.

HANIA z MURANOWSKIEJ
SPÓŁDZIELNIA „PRZYSZŁOŚĆ"

Na początku bieżącego roku szkolnego z inicjatywy p. kierowniczki powstała na terenie naszej szkoły Spółdzielnia pod nazwą „Przyszłość".

Niestety, początkowo Spółdzielnia nie cieszyła się powodzeniem ani uznaniem wśród dzieci szkolnych.

Pani kierowniczka wybrała z naszej klasy sześcioro dzieci, wyznaczyła, do której klasy kto ma iść i zachęcać dzieci, aby się zapisały do Spółdzielni.

Mnie wyznaczono pierwszą klasę. Poszło mi nadspodziewanie łatwo. Wytłumaczyłam dzieciom, jakie znaczenie ma Spółdzielnia w naszej szkole. Kiedy nazajutrz przyszłam do pierwszej klasy, wszystkie dzieci miały pieniądze na wpis.

Potem odbyło się zebranie Spółdzielni. Na zebraniu został wybrany Zarząd. Obecnie nasza Spółdzielnia liczy 278 członków i ma już w szkole sklepik z różnymi przyborami.

Zarząd Spółdzielni ma nadzieję, że wkrótce w szkole nie będzie ani jednego dziecka, któreby nie należało do Spółdzielni.

MIRA z BIAŁEJ PODL.
MÓJ DZIEŃ POWSZEDNI.

— Michał, wstań! — słyszę głos mamusi.

Otwieram jedno oko, ale zaraz je zamykam, odwracam się do ściany i śpię dalej.

Nagle czuję, że moja głowa leci w przepaść. Okazuje się, że mamusia wyciąga mi poduszkę z pod głowy. Nie ma rady. Trzeba wstać. Więc szybko wyskakuję z łóżka. Myję się, zjadam śniadanie i biegnę do szkoły.

Po sprawdzeniu listy obecności, pani mówi:

— Teraz będzie geografia.

Geografia jest moją słabą stroną. Na nieszczęście pani mnie wywołuje:

— Jakie jest najważniejsze miasto w Prusach Wschodnich? — pada pytanie

— Królewiec — podpowiadają koledzy.

— Królewiec — powtarzam.

Jednak pani jeszcze nie jest zadowolona, chce, abym powiedział coś o tym mieście, ale ja nie umiem. Na moje szczęście rozlega się dzwonek.

Po pauzie jest historia. Historię znam lepiej i odpowiadam dobrze.

Wracam do domu. Od razu zabieram się do odrabiania lekcji, a potem czytam książkę. Na czytaniu schodzi mi czas do kolacji. Po kolacji idę znużony spać.

MICHAŚ z PRZEBIEGU.
APARAT FILMOWY.

Ja mieszkam na trzecim piętrze, a mój kolega na drugim. Ciągle do niego chodzę i bawimy się razem.

Za dwa dni miały się odbyć jego urodziny. Zacząłem myśleć o tym, co mu kupić. Moja mama wpadła na pomysł, abym mu kupił jakąś grę. Ucieszyłem się tym projektem. Dostałem od mamy dwa złote i pobiegłem do sklepu. Wybór był ogromny. Spodobała mi się gra, która się nazywa „Chińczyk" i tę kupiłem.

W domu zawinąłem grę w biały papier i poszedłem na urodziny. Otworzył mi kolega. Wręczyłem mu grę i ładnie powinszowałem.

Siedzimy z kolegą przy stole, a tu nachodzi jego tatuś i daje mu wielkie pudełko. Na pokrywce pisze: cena 12 zł. Otwieramy pudło, a tu leży piękny aparat filmowy, przy nim rolka z klisza mi. Kolega uradował się tym podarunkiem ogromnie.

Od razu poszliśmy do drugiego pokoju, bo tam była biała ściana i na niej puszczaliśmy film. Jakie piękne ruchome „mikusie" odbijają się!

Po powrocie z urodzin ja naturalnie zacząłem także marzyć o takim aparacie. Powiedziałem o tym mamusi i bardzo prosiłem, żeby mi taki aparat kupiła. Na to mamusia:

— Idź do tatusia, przecież on zarabia pieniądze.

A tatuś powiedział, że napewno mi kupi taki aparat, ale wtedy, jak się czasy zmienią, jak będą lepsze.

Stale tylko myślę o aparacie i ciągle zapytuję tatusia, czy czasy już się zmieniły, ale wciąż słyszę odpowiedź: nie.

Tymczasem, póki nie mam własnego aparatu, puszczam film na aparacie mego kolegi.

JÓZEF Z ŻEROMSKIEGO.

PO RAZ PIERWSZY do Małego Przeglądu napisali:

Bialer Aleksander. — Boksenbaum Hanka. — Dorn Abram. — Drumlewicz Hela. — Frenkiel Ruta. — Gutgold Helga. — Gutherc Hanka. — Jaszuńska Iwa. — Judman Andzia. — Kadysiewicz Sewek. — Kalksztejn Dawid. — Kalwary Józef. — Kornberg S. — Kornblum Icchok. — Krauzer Jakób. — Kupferblum Syjona. — Lemberger Michał. — Lew Mela. — Markowicz Dawid. — Poczciwa Jula. — Szaferman Dawid— Szajnberg Bela. — Szajnrok Rysio. — Szercman Wigdor. — Sztajnfeld Szyja. — Szumacher Izaak — Wajgenszperg Lejzor. — Zylbertrest Henryk.

Listów otrzymaliśmy z Warszawy — 47, zporwincji — 38 razem 85.

——::——

OD CHEDERU DO INTERNATU

Gdy miałem cztery lata, posłano mnie do chederu. Początkowo chodziłem tam chętnie, ale po kilku miesiącach już mi się znudziło. Mamusia musiała mnie wyganiać z domu, a kiedy i to nie pomagało, mamusia powiedziała że będzie mi dawała codziennie po dwa grosze, jeśli będę chodził do chederu.

I tak uczyłem się w chederze do sześciu lat. Pewnego dnia, gdy chciałem coś wziąć z kredensu, stanąłem na taboretce aby mi było wygodniej. W taboretce wystawał gwóźdź. Nagle przechyliłem się, upadłem i gwóźdź wszedł mi do nogi.

Wszyscy zaczęli płakać, a matka ciągle powtarzała:

— Co będzie, co będzie.

Jedna znajoma pobiegła do sklepu, w którym był telefon i zatelefonowała po pogotowie. Pogotowie przyjechało i zawiozło mnie do szpitala. Tu musiałem czekać dwie godziny, aż mnie zanieśli na oddział, gdzie położyłem się do łóżka.

W nocy, kiedy w najlepsze spałem, przebudzili mnie i zabrali na operację. Mamusia cały czas przy mnie stała. Początkowo po operacji nic nie bolało, ale potem — strasznie. Na opatrunkach bardzo krzyczałem na doktora i nie pozwalałem nic robić.

W szpitalu było mi bardzo dobrze. Mój doktór miał taki zwyczaj, że co kilka dni kładł mi na taboret pieniądze, żebym sobie kupił cukierki. Raz mamusia przesiedziała u mnie cały dzień, a kiedy wieczorem chciała wrócić do domu, zauważyła, że nie ma na tramwaj. Wtedy dałem mamusi pieniądze, które dostałem od doktora.

Doktór powiedział matce, że trzeba mi obciąć nogę do kolana, bo jest coraz gorzej. Matka zaczęła płakać i prosiła doktora, że by tego nie robił. Doktór powiedział, że nie ma innej rady. Matka tak długo prosiła i płakała aż postanowiono inaczej mnie leczyć. Ciągle robili mi operacje.

Przeleżałem rok w szpitalu, a kiedy już mieli mnie wypisać, doktór postarał się dla mnie o maszynkę na nogę.

Mój ojciec był szewcem i pracował bardzo ciężko. Warsztat swój ojciec miał w domu. Składał się on z dużego taboretu, na którym leżały narzędzia szewckie i krzesełko, na którym ojciec siedział i pracował. Co dzień wieczorem udawał się na Wałówkę, gdzie sprzedawał buty.

Raz, gdy ojciec wrócił do domu, położył się odrazu do łóżka. Matka była zdziwiona, dlaczego ojciec tak wcześnie położył się spać, ale nic nie mówiła, bo ojciec był taki blady.

Nazajutrz ojciec nie wstał z łóżka. Wezwany lekarz powiedział, że tatuś ma zapalenie płuc. Doktór co dzień przychodził, ale co dzień było gorzej. Jednego dnia wróciłem z podwórka do domu i zobaczyłem, że ojciec leży na podłodze, zakryty prześcieradłem. Wszyscy bardzo płakali, więc ja także zacząłem płakać.

Kiedy ojciec żył, powodziło nam się nieźle, ale po jego śmierci było coraz gorzej. Całe moje życie to było podwórko a wiadomo przecież, że podwórko nie wychowuje.

Matka dowiedziała się, że w Warszawie jest taki dom, gdzie przyjmują sieroty. Wystarała się, żeby mnie tam przyjęli.

Teraz jestem w internacie. Nie chodzę już do chederu, tylko do szkoły. Spełniam dyżur i mam dużo czasu na zabawy.

MOSZEK z KROCHMALNEJ

X-ty TURNIEJ ROZRYWKOWY „MAŁEGO PRZEGLĄDU".

Dobre rozwiązania zadań turniejowych 19-go, 20-go i 21-go nadesłali: „Alba" (19, 20 i 21 — 5 p.), „Alpis" (21 — 5 p.), Josif Anglister (19, 20), Mieczysław Aronowcz (19, 20), „Aster" (19, 20, 21 — 5 p.), Saba Bajtel (19, 20, 21 — 6 p.), Ryszard Bakst (19, 20, 21—5 p.), Halinka Boruchin (19, 20, 21—5p.), Jakób Chelemer (20, 21—5 p.), Zosia Chinenzon (19, 20, 21—5 p.), Adam Dworecki (19, 20, 21—5 p.), Bela Elster (19, 20, 21—6 p.), „Ergo" (19, 20, 21—5 p.), Róża Figa (20), Renia Frydman (19, 20, 21 — 5 p.), Josef Goldfarb (20), Celina Grasberg (19, 20, 21—5 p.), Sabina Hochstein (19, 20, 21—5 p.), „Irma" (19, 20, 21—5 p.), Sewek Kadysiewicz (19, 20, 21—5 p.), Henryk Kamiński (19, 20, 21—5 p.), „Karo" (19, 20, 21—5 p.), Felicja Kossowska (19, 20, 21—5 p.), Paweł Lapidus (19, 20, 21—5 p.), Jakub Lew (19, 20, 21—5 p.), Ryszard Lewkowicz (19, 20, 21—6 p.), Wanda Libekówna (19, 20, 21—5 p.), Adelcja Lichtensztejnówna (20, 21—5 p.) Zygmuś Lichtensztejn (20, 21—5 p.) S. Majeran (19, 20, 21—5 p.), Estera Margulis (19, 20, 21—5 p.), Ewa Mass (19, 20, 21—5p.), M. Mławski (21—5 p.), Janka Młynówna (21 — 5 p.), Noemi z Wilna (19, 21 — 5 p.), Olek Oltuski (19, 20, 21 — 6 p.), „Pik" (19, 20, 21 — 5 p.), Maria Praszkiewiczówna (19, 20, 21 — 5 p.), Marysia Rozenblattówna (21—5p.), Jerzyk Sarnak (19, 20, 21 — 5 p.), Adam Szpilman (19, 20. 21 — 5 p.), Henryk Szawzyn (19, 20, 21 — 5p.), Rywcia Tobiasz (20, 21 — 6 p.), Paulina Trembowler (19, 20 — 6 p.), Emil Wertheim (21 — 5 p.), B. Zawidowicz (20, 21 — 5 p.), Adzik Zolberg (19, 20, 21 — 5 p.).

Jedno rozwiązanie nadesłano bez podpisu.

LISTA DODATKOWA DOBRYCH ROZWIĄZAŃ ZADAŃ TURNIEJOWYCH Nr. 10, 11 i 12.

Marysia Rozenblattówna (10, 11, 12), Jerzyk Sarnak (10, 11, 12), Adam Szpilman (10. 11, 12).

ODPOWIEDZI REDAKCJI „ROZR. UMYSŁ."

JEDNEJ Z UCZESTNICZEK TURNIEJU. Nie można unieważniać zadania, rozwiązanego dobrze przez wszystkich tych, którzy to rozwiązanie nadesłali, jedynie dlatego, że do jednego z 23 określeń zakradł się błąd zecerski. Zorientować się, o jaki wyraz tu naprawdę idzie, było mimo omyłki bardzo łatwo, czego najlepszym dowodem jest to, żeś ty sama prawidłowo znaczenie tego wyrazu odgadła. W ostateczności, gdyby ktoś nie mógł dać sobie z tym określeniem rady, mógł nadesłać rozwiązanie bez tego wyrazu, a napewno zostałoby uwzględnione. (Nikt zresztą tej trudności nie miał). Więc poco unieważniać?

Dobre rozwiązania zadań turniejowych 22-go, 23-go i 24-go nadesłali: „Alba" (22, 23, 24), „Alpis" (22, 24), Josif Anglister (22, 23, 24), Mieczysław Aronowicz (24), Saba Bajtel (22, 23, 24), Ryszard Bakst (22, 23, 24), Halinka Baruchin (24), Jakub Chelemer (23, 24), „Ergo" (22, 23, 24), Zosia Chinenzon (22, 23, 24), Rózia Figa (22, 24), Henryk Flam (22, 23, 24), Renia Frydman (24), Josef Goldfarb (22, 23, 24), Celina Grasberg (22, 23, 24), Sabina Hochstein (22, 23, 24), „Irma" (22, 23, 24), „Izabella Niekastylska" (22, 23, 24), Sewek Kadysiewicz (23, 24) „Karo" (22, 23, 24), Felicja Kossowska (22, 23, 24), Paweł Lapidus (23, 24), Jakub Lew (22, 23, 24), Ryszard Lewkowicz (22, 23, 24), Wanda Libekówna (22, 23, 24), Adelcia Lichtensztejnówna (22, 23, 24), Zygmuś Lichtensztein (22, 23, 24), Samek Majeran (24), Estera Margulis (23, 24), Olek Oltuski (23, 24), Mania Praszkiewiczówna (22, 23, 24), Sylwia Reckówna (24), Marysia Rozenblattówna (22, 23), Jerzyk Sarnak (23, 24), Adam Szpilman (22, 23, 24), Rywcia Tobiasz (22, 23, 24), Paulina Trembowler (22, 23, 24), „Ursus" (23, 24), Emil Wertheim (24), Berek Zawidowicz (22, 23, 24), Musio Zinger (22), Adzik Zolberg (22, 24).

Jedno rozwiązanie nadesłano bez podpisu.

WYNIK X-go TURNIEJU ROZRYWKOWEGO „MAŁEGO PRZEGLĄDU"

Wszyscy uczestnicy Turnieju zostali, jak zwykle, podzieleni na dwie grupy: 1) do lat 10-ciu włącznie i 2) od lat 10-ciu do 13-tu włącznie.

W 1-ej grupie (do lat 13-tu) największa kolejno ilość punktów zdobyli: 1) Lichtensztein Zygmuś, lat 10, Franciszkańska 6/25 — 57 p.; 2) Lewkowicz Ryszard, l. 10, Błonie, Sohaczewska 8/6 — 51 p.; 3) Wertheim Emil, lat 10, Pańska 13/4 — 51 p.

W grupie 2-ej (od l. 10 do 13-tu) największą kolejno ilość punktów otrzymali: 1) „Alba", lat 12, Żelazna 64/20 — 60 p.; 2) Grasberg Celina, lat 13, Nowolipki 51 /24 — 58 p.; 3) Lew Jakub, lat 13, Muranowska 36/56 — 58 p.

Nagrody w postaci wartościowych książek zostaną przesłane zwycięzcom Turnieju do domów.

ŻARTY

ŻYCZENIA.

kiem — marzy głośno mały

— Chciałbym być czarownikiem.

Jasio.

— No, a cobyś wówczas zrobił? — pyta ojciec.

— Zamieniłbym naszego nauczyciela w kanarka, a potem otworzyłbym okno!

LOGICZNA ODPOWIEDŹ.

Nauczyciel: Zaraz się przekonam, czy pamiętacie coś z gramatyki. Jasiu, w zdaniu: „biała krowa je trawę" — gdzie jest podmiot?

Jaś (po dłuższym namyśle): Na łące, panie profesorze!

OSOBLIWE WYMAGANIA.

Gość do kelnerki: Proszę mi powiedzieć, co ma znaczyć ta mucha, płynąca w mojej zupie?

— A skąd ja mogę wiedzieć? — odpiera z oburzeniem panienka. — Przecież nie jestem wróżką, tylko kelnerką!

SZCZODRY SZKOT.

Syn: Wiesz, ojcze, śniło mi się, że dałeś mi złotówkę...

Ojciec: Możesz ją sobie zatrzymać.

DYPLOMATA.

— Jasiu, już po siódmej, chodźmy do domu.

— Nie, teraz jeszcze nie pójdziemy, bo dostaniemy burę za spóźnienie. Wrócimy o dziesiątej, to nas pocałują za to, że się nam nic nie stało.

ZACHĘCAJĄCY POCZĄTEK.

Na skutek ogłoszenia w pismach zgłasza się do dyrektora cyrku nowy poskromiciel lwów.

Przejrzawszy świadectwa kandydata, dyrektor powiada:

— Dobrze, angażuję pana. Zacznie pan swą pracę natychmiast. Przede wszystkim proszę usunąć z klatki resztki, które pozostały po pańskim poprzedniku.

KTO WINIEN?

Dyrektor: — Jasiu, podobno uderzyłeś nauczycielkę. Czy to prawda?

Jaś: Tak, ale daję słowo, panie dyrektorze, że to ona zaczęła!

ZABORCZY FOTOGRAF.

Malarz - pejzażysta zwraca się do wieśniaka:

— Czy są tu gdzieś blisko ładne widoki?

Wieśniak drapie się w głowę i odpowiada niepewnie:

— Że byli, to wiem napewno, ale był tu jeden fotograf z Warszawy, to je wszystkie wyfotografował...

——

TELEFONICZNIE POROZUMIEĆ SIĘ Z REDAKCJĄ MOŻNA WE WTORKI I PIĄTKI, GODZ. 1—2. TEL. 11-99-17. INTERESANTÓW REDAKCJA PRZYJMUJE W NIEDZIELĘ, OD GODZ. 4 do 5-ej, NOWOLIPKI 7.